

MARCEL PIELA, GDYNIA

# MIAŁEM TO, CO ZDĄŻYŁEM ZŁAPAĆ

Dziadkowie moi ze strony ojca to górale spod Żywca. Była tam gromada dzieciaków. Pamiętam czterech wujków i cztery ciotki. W latach dwudziestych był kryzys, który wypędził ich stamtąd. Wybrali się do Gdyni, ale jedna z ciotek wyjechała do Ameryki, druga do Brazylii, a ojciec mój wyjechał do Francji. Wcześniej w pierwszej wojnie światowej cztery lata walczył na froncie austriacko-węgierskim, z Rosjanami naturalnie. Był dwukrotnie ciężko ranny w klatkę piersiową, przestrelony na wylot. Był wysokim, kędzierzawym mężczyzną, z piękną plerazą, kobiety szalały za nim. Poderwał moją mamę i do Francji wyjechali razem. Tam się urodziłem.

Dziadek przyjechał do Gdyni pod koniec dwudziestych. On i jego trzech dorośli synowie, ci co zostali, zaczęli się budować. Wybudowali na Oksywiu piętrowy dom. A z czego się utrzymywali? Jeden był artystą malarzem i rzeźbiarzem, drugi również zajmował się sztuką. Mieli też lokatorów, bo to był piętrowy dom, wiem, że cztery mieszkania wynajmowali. Pieniądze na samą budowę mieli między innymi od ciotki z Ameryki. Mój ojciec też im przysyłał z Francji, bo moja matka była poznanianką, to wiadomo, że oszczędzała, żeby posyłać na ten dom. Mama zmarła w 1931 r., kiedy ja miałem sześć lat. Czuła, że umrze, że śmierć przychodzi, chciała umierać w Polsce. A do tego ojciec został wyrzucony z Francji w 1931 r. Były tam jakieś rozruchy i strajki i Francuzi nie patyczkowali się, jak ktoś z uczestników był cudzoziemcem, to won za granicę, do swojego kraju.

Ojciec wrócił tutaj na Oksywie. Ponieważ mieszkanie było zajęte przez lokatorów (ta część, która należała się ojcu, jedna czwarta), trzeba było odczekać, aż się gdzieś przeniosą. Dlatego ja mam w książce meldunkowej, że ojciec mieszkał na Oksywiu, ale pod innym numerem, a potem w naszym domu. Ojciec był inwalidą i miał rentę. Ja byłem jedynakiem, w 1939 r. miałem czternaście lat i kilka miesięcy.

## Zostałem sam

Wybuchła wojna. Ojca „odliczyli”, szedłem z nim w jednym szeregu do niewoli, ale ponieważ miałem krótkie spodenki, odtoczyli mnie, a ojca zabrali. I już go nigdy więcej zobaczyłem. Świadkowie, Kaszubi, którzy wrócili, mówili, że ojca wzięli najpierw do Stutthofu, a potem do Wejherowa. Tam jest ta słynna mogiła 12 tys. ludzi w Piaśnicy i najprawdopodobniej ojciec tam zginął. Dlaczego? Przecież był inwalidą wojennym z tamtych czasów, kiedy Niemcy i Austrowęgry byli w koalicji. Może ojciec, który lubił sprzeczki z Kaszubami, podpadł im? Ale budował schrony ludziom w 1939 r., w czasie wojny dziewiętnastodniowej, bo tyle Oksywie się broniło, pomagał budować różne kryjówki cywilom. Bo przecież masę ludzi uciekło na Oksywie, z Gdyni, ze wszystkich stron. Był to ostatni cypel, który bronił się pod dowództwem pułkownika Dąbka.

Zostałem sam w domu, bo wszyscy pouciekali, wszyscy lokatorzy, wujkowie też się wyjechali. Jeden pojechał w czasie wojny do Zielonki pod Warszawą i tam zginął. Drugi został zabrany do Katynia z Równego. Wcześniej był urzędnikiem bankowym w Gdyni. Do Równego trafił jeszcze przed wojną, bo został tam z rodziną przeniesiony służbowo. Stam-

tych zabrali ich Rosjanie, a że wujek był podporucznikiem rezerwy, więc zabrali go do Katynia. Zostałem sam jak kotek. Czekałem na ojca.

Dom duży, mogłem po nim biegać. Później wprowadziła się sąsiadka, starsza pani, która nie miała domu, bo wszystko wokół było spalone. Większość domów w naszej okolicy to były baraki, od strony Gdyni i od strony koszar. Całe to wzgórze jest dziś zarośnięte, a przedtem stał tutaj dom przy domu. Jak ta pani się wprowadziła, to mi gotowała, a ja starałem się z koszar przynieść coś do jedzenia. Tam było, jak to się mówi, żarcia w bród. I tak z tą panią zostałem.

### **Raus!**

20 października o piątej rano zapukali żandarmi niemieccy i raus! A przedtem trzeba było oddać klucze. Oddałem klucze od mieszkania, od bramy. Wywieźli nas.

Do tej wywózki mobilizowano nas dwukrotnie. Gdy przyszli pierwszy raz, to byłem przygotowany – miałem plecak, menażkę, manierkę, wszystko to było wojskowe, po marynarzach, bo mieszkaliśmy blisko terenu koszar. Wszystko sobie przygotowałem, nawet albumy ze znaczkami. Jak to chłopak. Ale wtedy powiedzieli – nie, nie wyjedziecie, bo nie ma pociągu. Może dlatego, że byliśmy tak przygotowani. A potem, za kilka dni, wpadli o piątej rano i raus! Wyrzucili nas. To, co zdążyłem złapać, to miałem: plecak, taki harcerski, a w plecaku, w kieszonkach jakieś fotografie z domu. Nawet nie zdążyłem zabrać dokumentów. I tak mnie zapakowali do wagonów towarowych, razem z tą panią. Muszę powiedzieć, że ona bardzo się mną opiekowała.

Przez spaloną Warszawę dotarliśmy do stacji Mordy za Siedlcami i tam nas na peronie wyrzucili: raus! raus! Niektórzy chcieli wracać do Lublina czy do Warszawy wozami konnymi, ale nie wolno było. Jestem przekonany, że jechaliśmy tam trzy tygodnie. Pociąg jechał w przód, potem cofał się, to most był zerwany i trzeba było objechać, to znów coś innego. Nikt nam jeść nie dawał, co kto złapał ze sobą, to miał. I ludzie się ze sobą dzielili. A po sześćdziesiąt osób było w wagonie towarowym, w tym dzieci, trudno sobie wyobrazić, jaka to była gehenna.

### **Tułaczka**

Na miejscu wozacy już czekali na nas i rozwieźli nas po wsiach. Ja trafiłem do wsi Cierpigórz. Do takich Białorusinów, bo to po akcencie poznałem. Jak odpoczęliśmy, bo byliśmy bardzo zmęczeni, to staraliśmy się stamtąd wydostać. Ale ja nie wiedziałem, w którą stronę ruszyć, więc ta pani powiedziała mi, że ma rodzinę w poznańskim i będziemy się starali tam dostać. Wtedy jeszcze nie było granicy GG. To już była zima, grudzień. Przedostaliśmy się wagonami. Pamiętam, że w tłoku spałem na stojąco. Było strasznie zimno.

Dojechaliśmy przez Warszawę do Konina, a stamtąd było już bardzo blisko do Ślesina, gdzie ona miała rodzinę. Przyjechaliśmy na wieś, do takiej chatki, ale tam gromada dzieci, nie było nawet gdzie spać, dom z gliny. A ja, co ja tam będę robił? Dali tam żurku zjeść. Nazywałem tę naszą sąsiadkę ciocią. Ona tam została, dała mi parę srebrnych monet na drogę (miała przed wojną duży sklep kolonialny na Oksywiu).

### **Praca u Niemców**

W marcu 1940 r. zaczął się spis policyjny wszystkich Polaków. No i wpadłem, już miałem piętnaście lat, więc już nadawałem się do pracy. Podałem swoje dane: jakim językiem mówicie w domu – naturalnie po polsku, gdzie urodzony – Frankreich (Francja), jakiej

wiary – rzymskokatolickiej. Wszystko szczegółowo spisywali. Dostałem nakaz pracy. Poszedłem do pracy do gospodarza. Jako piętnastolatek nie byłem w specjalnej kondycji, ale z czasem się wyrobiłem. Już wiedziałem, że dostanę kawałek chleba na śniadanie, zupełny na obiad. Takich wysiedleńców było tam dużo.

Pracowałem ciężko i nie zawsze byłem najedzony, a praca była od rana do wieczora. Cztery konie, a ja konia się bałem, miejskie dziecko, a tu musiałem je w jednej ręce utrzymać, żeby orać albo bronować. Ale wszystkiego się człowiek nauczy. Gospodarzami byli tam Niemcy z Besarabii. Ci Niemcy wszystko mogli ze sobą zabrać, pamiętam takie łopatki, wiaderka zardzewiałe, wszystko przywieźli ze sobą. A tutaj dostali gospodarstwa polskie, po Polakach wysiedlonych z tej wsi. A jak tam był bogatszy, bo Niemcy to skrupulatnie notowali, to tutaj dostawali trzy gospodarstwa albo dwa duże. Byli tacy, którzy majątki dostawali po Polakach. Do takich „Besarabów” trafiłem, którzy byli przekonani, że wojnę wywołali Polacy. I co rusz mi to przypominali – bo znałem język niemiecki – *Bromberger Blutsonntag*, tę „krwawą niedzielę” w Bydgoszczy, że to Polacy są winni temu, że oni zostali wysiedleni z Besarabii. Traktowano mnie jak takiego *polnische Hund*, jak mówili.

### „Wyzwolenie”

Nadszedł styczeń 1945 r. Oni do ostatniej chwili nie chcieli opuścić tych polskich gospodarstw, tu mieli po czterdzieści hektarów na osobę, a co mieli w tej Besarabii, nie wiadomo. Rosjanie zaczęli się zbliżać, słychać już było huk armat czołgowych. Ja zostałem, nazwijmy to, wyzwolony, 21 stycznia w 1945 r. Była straszliwa zima. Załadowaliśmy na wóz wszystko, co tylko było po Polakach, bo Niemcy zajęli przecież gospodarstwa, które były wyposażone we wszystko. Mnie nie wolno było wchodzić do domu, do mieszkania, byłem przecież obcy. Polak nie miał prawa spać w mieszkaniu, tylko w stajni. Załadowaliśmy, ile się tylko dało. Wszystko zabrali – to, co przywieźli, i to wszystko, co pozostało po Polakach. Szły trzy konie, jeden został. Swój kufeczek zabrałem i na wóz, bo miałem powozić. Wyjeżdżała moja szefowa z dziećmi. Jej mąż zginął na wschodnim froncie, była pod opieką takiego Ordsbauerführera, naturalnie z SS. Przychodził co jakiś czas i sprawdzał, jak ja się zachowuję, czy jestem w stosunku do niej grzeczny. Parę razy oberwałem, mam nawet dziury w głowie, bo odpyskowałem. Ona mnie jakoś tam broniła, bo inaczej by się nie porozumiała z nim, taka trochę to była ciemna baba, niemieckiego nie znała.

I na tym wozie, wieś była oddalona od głównej szosy jakieś dwa kilometry, boczną drogą dojechaliśmy do głównej. Już z daleka słyszałem szum i hałas wozów. Nie tylko nasz wóz był tak wyładowany. W kierunku na Poznań szły tysiące wozów. Mnie to nie było po drodze, gdzie ja tam mam do Vaterlandu jechać, a oni wiadomo było, że jadą do Niemiec. A cały czas słyszałem, że Rosjanie się zbliżają. Co chwilę schodziliśmy z wozu, żeby nogi rozgrzać, bo obuwia nie było odpowiedniego. Koło nas kręciło się przy wozach dwóch, trzech Polaków i mówią – przyskamy, trzeba zwiewać, bo nie wiadomo, co będzie. A byliśmy eskortowani przez żołnierzy. Wskoczyłem w pobliżu zagajnika – i chodu. Zwalił się we trójkę. Strzelali za nami, kolega został ranny w dłoń, bo jakoś tak ręką machał. Opatrzyłem go. Schowaliśmy się pod gałęzie, gdzie nie było śniegu. Wcisnąłem się tam.

Obudził mnie rosyjski bagniet. Żołnierz kłutł mnie w plecy, zmarznięty byłem. Ty kto? *Ja Paliak* – mówię po rosyjsku, bo ten gospodarz, u którego pracowałem, to po rosyjsku umiał, więc mówił, *karowa, łoszadi*, i kilka słów rosyjskich znałem. Jak powiedziałem, że *Paliak* – *No, to wychadi. Gdzie Giermańcy?* Pokazałem w kierunku szosy, ona była w odległości jakiegoś kilometra. *No, to idi nazad*. Nawet mnie tam ugościli, bo byłem taki zmarznięty.

A kolegów już nie spotkałem. I wróciłem na to miejsce, skąd wyjechaliśmy, bo kuferek przy sobie, ale jeszcze miałem kilka rzeczy schowanych w słomie. Wróciłem na to gospodarstwo, przenocowałem jeszcze w swoim wyrku.

## Powrót

Później zgłosiłem się do WKR do Konina. Bo tak myślałem, co ja mam robić? Nie mam żadnych znajomych. Tej pani, tej mojej „cioci” nie było (później spotkałem ją w Gdyni). Jestem zupełnie sam. Idę na pociąg – nie ma żadnego pociągu – tory zerwane, bo Rosjanie poszerzali linię Konin–Poznań. Potem przez Swarzędz – tam był most zerwany, musieliśmy nosić kamienie i podsypywać wiadukt. Pomagaliśmy w tym – ale później miałem okazję kawalek pojechać samochodem za czołgiem. Zgłosiłem się do WKR w Koninie i dostałem zaświadczenie. To był mój jedyny dokument, do dziś go mam.

Bardzo chciałem iść do marynarki wojennej. I wracałem do Gdyni – pociągami, furmanką, pontonami. Czasami wrzeszczeli na mnie jacyś spotykani Rosjanie – *idi, ty, szpion* – ale ja się ich nie bałem, mówiłem im wierszyki, śpiewałem im czastuszki, tak że specjalnie mnie nie gnębili. I ja, taka sierota, dostałem się aż do Tczewa i tam przez most przyjechałem do Gdańska, jakiś samochód mnie zabrał. W Gdańsku spotkałem się z moim nauczycielem Piotrem Cieślawskim. Spotkałem go w takich okolicznościach, że leżeliśmy obok siebie na podłodze w domu noclegowym PCK we Wrzeszczu. Rano się budzimy i ja mówię – pan Cieślawski. – A ty co, skąd mnie znasz? – No jak to, ja jestem przecież pańskim uczniem, byłem harcerzem (później spotykaliśmy się w Gdyni).

Wyruszyłem do Gdyni, to trwało kilka godzin, bo nie było komunikacji, ale dotarłem na Oksywie, do domu. A tutaj – nie ma śladu! Nawet jednej cegły nie znalazłem. Nic nie zostało. Wokół wszystko spalone. Nie wiem, co się stało. Jedni mówili, że Anglicy bombardowali. Ja jestem przekonany, że to nasi Polaczkowie, ci, co zostali, Kaszubi, ci folksdojczce, rozebrali to, bo im cegły były potrzebne. A dzisiaj nie można tam wejść, bo jest kolczasty drut, ogrodzenie terenu marynarki wojennej i krzewy takie, że nic nie widać. Tak wyglądał mój powrót do domu.

## Niemcy w marynarce

A dalej? No, miałem to zaświadczenie z Konina, zgłosiłem się do pana kaprala w WKU. Pan kapral miał tylko na rękawie biało-czerwoną opaskę, nie było mundurów w tym czasie. Ale pamiętam, że miał stopień kaprala. On dał mi zaświadczenie, że: 11 lutego 1945 r. zgłosił się Marceli, syn Michała, i ma się zgłosić w Gdyni do marynarki wojennej. On nawet nie wiedział, co to jest marynarka wojenna. To takie proste chłopsko, dali mu karabin i pełnił tę służbę. Zanim trafiłem do marynarki, trochę pokręciłem się jeszcze za dziewczynami, za tym i owym, przecież miałem już dwadzieścia lat. No, wreszcie dostałem tę czapkę, z orzełkiem, co prawda nie miał korony, ale była czapka. Nie musiałem jej przed nikim zdejmować, mogłem chodzić po chodniku, to był mój sukces. Odsłużyłem swoje.

Perypetie są znowu. W marynarce wojennej lubiłem troszkę krytykować, malować, pisać wierszyki. Nie wszystkim się to podobało. A ja miałem taką zdolność, że wykrywałem, wyczuwałem Niemca na kilometr, tak jak milicjanta. Mój drużynowy był z Kriegsmarine niemieckiej. Dowódca plutonu to żandarm niemiecki itd. Był taki rozkaz marszałka Żymierskiego, że wszyscy marynarze, oficerowie i podoficerowie mają stawić się do marynarki wojennej. Oficerów można było na palcach policzyć, bo wszyscy zostali w Anglii, ale podoficerowie powychodzili z nor. A później się okazało, że albo był w niemieckiej marynarce,

albo był w żandarmerii, a jak ze Śląska, to i gestapowiec się zdarzył. Tacy byli ci oficerowie i myśmy ich później w Nowym Porcie wykrywali. A kto ich wykrywał? Przyszedł nowy rocznik rekrutów i poznawali – ty bracie mojego ojca zabiłeś! Był w marynarce taki Profos, szef żandarmerii. I syn, którego ojca on zabił, z Warszawy, poznał go. Informacja zaczęła śledztwo i wykrywali, kto był Niemcem.

### **Kolporter? Kurier?**

Długo nie dostawałem stopnia, bo jedna z moich ciotek, która była w Chicago, prosiła, żebym przysłał zdjęcie. Zachciało mi się posyłać zdjęcia w mundurze marynarskim, z pepeszą, a jej syn przysłał mi zdjęcie na lotniskowcu, bo też był marynarzem. No i wykryli to zdjęcie nasi informatorzy, a tam jeszcze podpis: kochanemu kuzynowi Marcelemu... Ale to jeszcze mało. Ni stąd, ni zowąd wołają mnie na bramę – poczta. Przyszło, no nie wiem, kilkadziesiąt rolek gazet amerykańskich i na każdej banderoli nie Marcel Piel, ale Wojciech Piel, czyli dziadek. Bo dziadek przed wojną zamówił abonament, czy też córka mojemu dziadkowi to zamówiła... Regularnie przychodziły do nas przed wojną gazety w języku polskim z Ameryki – chyba „Gwiazda Poranna”, coś takiego. To były olbrzymie płachty, a wewnątrz – Sienkiewicz, Mickiewicz, Żeromski, powieści w odcinkach. Przed wojną ja to wycinałem i kompletowałem. Ale jak to przyszło do mnie do marynarki, bo ten kuzyn to wszystko przysłał... Na pierwszej stronie gazety – komuniści to! Stalin tamto! No, wiadomo, Piel kolportuje amerykańskie gazety?! Byłem już wtedy żonaty. Za żoną też chodzili i ostrzegali ją, że to taki niepewny człowiek. A w tym czasie akurat w marynarce rozstrzeliwali komandorów.

Byłem wtedy w Kołobrzegu. Moim przełożonym tam był komandor Mieszkowski, który został potem rozstrzelany. Wcześniej, tak jakoś się złożyło, że chciałem jechać na przepustkę do Gdyni. No i komandor mówi, owszem, dam ci przepustkę, ale weź paczkę, zawiesz z żonie zmianę bielizny do prania. Dobrze znałem Gdynię i wiedziałem, gdzie mieszka jego rodzina, więc tę paczkę wziąłem. I tak kilka razy jeździłem. A chłopaki byli zadowoleni, bo ja zawsze coś przywożłem z Gdyni, coś do zjedzenia, jakąś watówkę. Ale jak go arestowali, to mnie wzięli, że byłem kurierem. Jakim kurierem? Ja mu bieliznę woziłem! To była moja służba czynna w marynarce wojennej.

### **Kłopoty z mieszkaniem**

Jak mnie zwolnili z marynarki, wróciłem do Gdyni, ale powiedzieli mi, ty ptaszku jesteś wyszkolony, to my cię tu tak po prostu nie puścimy. Napisałem raport o zwolnieniu. Później przeszedłem w Warszawie szkolenie i zostałem komendantem Obrony Cywilnej dla Gdyni. Nie bardzo mi się to podobało. Różne perypetie przechodziłem, raport za raportem pisałem. Przyjechał nawet generał z Warszawy, pół godziny ze mną rozmawiał – wy jesteście zdolni, my was znamy... Skąd oni mnie znają? Mieszkałem z żoną kątem u Żemojła (to był dyrektor amerykańskich linii). Wtedy był taki zwyczaj, że jak ktoś miał trzy pokoje, to mu kogoś dokwaterowywali. Ja byłem dokwaterowany. Jeszcze jak byłem tym komendantem, to napisałem podanie do przewodniczącego, że nie mam gdzie mieszkać. Żona pracowała w urzędzie miejskim w ewidencji, a ponieważ Obrona Cywilna podlegała przewodniczącemu miejskiej rady, pracowaliśmy w jednym urzędzie. Nie mieliśmy gdzie mieszkać, ona kątem, ja kątem. Wtedy dostałem u Żemojła mieszkanie. Ale ja wciąż chodziłem – panie przewodniczący, ja nie mogę w jednym pokoiku, ten Żemojtel pcha się do mojej żony, a jego żona, taka stara baba, pcha się do mnie! Dał mi przydział.

Trzeba się było w administracji zameldować. Poszedłem i mówię, że mam przydział na mieszkanie. A tam naczelnik mi odpowiada: ten przydział to sobie możesz powiesić wiesz gdzie? Ten naczelnik to był słynny w Gdyni wysiedlacz, od niego zależało, kogo się wysiedla z miasta. Bo z Gdyni też wysiedlali. To nie żadna SB, nie milicja, tylko on. On był szujką. Poszedłem więc do przewodniczącego i mówię: naczelnik administracyjno-polityczny, bo to był taki wydział, powiedział, że ja mam sobie ten przydział na gwoździu w wygodce powiesić, a pan mi podpisał. Zdenerwował się, to był Ukraińiec, ponoć był komunistą ukraińskim, a tutaj został przewodniczącym rady. Miał też trzech zastępców: Miętkiego – to był robotnik z portu, szef kadr to był górnik francuski (u niego miałem poparcie), Stawiarski, też z Francji, był sekretarzem (miał kopiowy ołówek, a jak się miał podpisać, to trwało to pół godziny).

## Znalezisko

Prowadziłem w Gdyni ewidencję wszystkich schronów – przedwojennych i niemieckich, bunkrów, szczelin, podpiwniczeń. To był 1951 r., pilnowałem, żeby syreny działały, bo to był okres zimnej wojny. Jak budowano coś nowego, np. hotel, to takie były przepisy: ileś metrów grubości stropów i ileś metrów budowy pod ziemię, w głąb, żeby ci ludzie z hotelu mogli się schować do schronu. Ja do tej pory znam te miejsca, każdy dom, jak chodzić pod ziemię, jak się przedostać. Ludzie często nie chcieli mnie wpuścić do piwnic. A tam kurz, brud! Miałem taki niemiecki płaszcz i w nim schodziłem pod ziemię. W wielu piwnicach po wojnie była woda. Szedł człowiek po schodkach i nagle wpadał po uszy, bo kurz pokrył wodę i wydawało się, że to jest cement.

Ale dokończę o tym naczelniku, co mnie tak gnębił i tak mnie postponował, nie tylko mnie, wszystkich. On decydował o wysiedleniu z Gdyni albo zameldowaniu. Zameldować się było bardzo trudno. Proszę sobie wyobrazić, że ja dostałem obywatelstwo polskie dopiero, jak byłem już oficerem. Wtedy wybagałem, wyprosiłem, że jestem obywatelem polskim i mam prawo mieszkać w Gdyni.

To było w 1955 r. Jednego razu penetruję piwnicę, nie powiem gdzie, bo to byłaby zdrada tajemnicy... Na ogół byłem z technikiem, ale wtedy byłem sam. Część była zawalona. Trzeba było te cegły odgarniać. Patrzą, szafa pancerna. Odsunąłem te gruzy, nie miałem latarki na baterie, ale miałem taką latarnię na naftę. Postawiłem ją i dawaj odgarniać. Jest szczelina, drzwi uchylone. I widzę, że przy zamku jest wgniecenie, ktoś tam majstrował z trotylem. Na pewno Ruski, bo oni sobie tak otwierali. Ale jak odsunąłem te gruzy, to te drzwi się otworzyły. Odsunąłem je. Że skarbów tam nie ma, to byłem pewny. Ale widzę teczki, na dole książki. Odkurzyłem, patrzę – *Mein Kampf*. Odrzuciłem, żeby rąk Hitlerem nie brudzić. Ale te teczki... Tam był jeden taki wąski segregator. Otwieram i widzę, takie duże zdjęcie tego naczelnika i w języku niemieckim: „Najuniżeniej proszę mojego Führera o przyjęcie mnie na drugą grupę. Zostałem pod Smoleńskiem ranny, posiadamy Krzyż Żelazny”. Cała teczka to było za dużo, zostawiłem ją, ale to podanie ze zdjęciem schowałem za pazuchę i poszedłem do przewodniczącego. Przewodniczący jak to zobaczył, to od razu zrobił zebranie partyjne. Naczelnik wyleciał z partii i z miejsca go zwolnili ze stanowiska. Jak się go ruszyło, to dopiero wszyscy zaczęli o nim mówić, ten drań, ten sukinsyn, swofocz. To nie był jedyny przypadek.

Po znalezieniu tych dokumentów ja już długo w Gdyni nie pracowałem. Już też byłem niepewny. Przychylili się do mojego raportu i zwolnili mnie. Poszedłem do Gdańska do pracy, do stoczni.